



shavvka

M. K. K L O S

01 10

04 10



be!
YA!

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Hanna Simon

Korekta: Elżbieta Lipowska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *kontakt@beya.pl*

WWW: *beya.pl*

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

beya.pl/user/opinie/pastbe

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0630-3

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Prolog

Kwiecień 2016

Czerwono-niebieskie światła oślepiały jego i tak już załzawione oczy, a wycie syren pogotowia przytępiało również jego słuch. Dookoła sceny wypadku zebrała się grupa ludzi, ale on był skupiony tylko na jednym. Sapał ze zmęczenia, ósmą minutę wykonując masaż serca. Chociaż był wycieńczony, krążąca w jego żyłach adrenalina nie pozwalała mu przestać. Jak w transie uciskał klatkę piersiową dziewczyny tak długo, aż silne ramiona odciągnęły go od jej zwiotczałego ciała. Otoczył ją zespół ratowników medycznych i przejął reanimację.

Chłopak, odsunięty na pobliski trawnik, z trudem łapiąc powietrze, runął na kolana i podparł się rękami. Jego wymęczony organizm wreszcie odpowiedział serią wymiotów. Ktoś poklepał chłopaka po plecach, chwalać za postawę obywatelską, inna osoba pytała, czy również nie potrzebuje pomocy, ale do niego nic nie docierało. Zamroczony, z bezwładnie opuszczoną głową, patrzył na ciekącą po ulicy strużkę krwi, która sączyła się z głowy dziewczyny. Liczyło się tylko, aby ona przeżyła.

Był mokry od potu, a chłodne podmuchy wiatru potęgowały wstrząsające nim dreszcze. Zamazywał mu się obraz przed oczami, gdy dziewczyna została podniesiona na noszach i wsadzona do karetki. Pomimo bólu całego ciała poderwał się za nią. Zatrzymały go mocne ręce jednego z gapiów.

– Zabierają ją do szpitala. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, synu – uspokajał go szorstkim głosem i trzymał mocno, gdy chłopak wierzgał, chcąc się do niej dostać. – Pozwól im ją uratować.

Twarz chłopaka zalała się łzami bezsilności.

Nie przypuszczał, że jest w stanie aż tak zakochać się w zaledwie parę dni. Wspólne chwile były najlepszymi, jakich do tej pory doświadczył. Poznał miłość swojego życia i gdy drzwi ambulansu zamknęły się za dziewczyną, sercem chłopaka targnęło straszne przecucie, że stracił ją bezpowrotnie.

Jego Esme.



Rozdział 1.

Sophie

1.07.2016 (piątek)

Wysoka, szczupła blondynka w idealnie dopasowanej błękitnej garsonce przemierzyła hol tak dobrze znanego mi biurowca. Stukot obcasów, akcentujący jej pewność siebie, teraz rozchodził się echem wzdłuż korytarza, na końcu którego ze stresem wyczekiwałam jej nadejścia.

Już sama obecność w tym szarym budynku pozbawionym życia psuła nawet najlepiej zapowiadający się piątkowy nastrój. Zamiast myśleć o tym, jak miło spędzę wieczór, walczyłam z atakującą mnie dookoła beznadzieją.

Instytucje państwowe cięły koszty na różne sposoby. Meble jeszcze z lat dziewięćdziesiątych, z wytartymi bordowymi tapicerkami, nadawały dodatkowo przygnębiający klimat, stojąc smutno pod szarymi ścianami. Na przestrzeń wspólną, gdzie mieściły się biurka, blade światło rzucały charakterystycznie brzęczące jarzeniówki. Naturalnie tylko część działała, a niektóre szybko i nierówno migały, powodując u mnie uciążliwą migrenę. Taka częstotliwość mrugania nadawała się tylko na imprezy. Siedziałam tu niecałe dziesięć minut, a już padałam ofiarą zawodzącego sprzętu. Dźwięk drukarek, telefonów i ciche szeptu ludzi tylko potęgowały irytujące doznanie. Wszystko tu było takie mdłe, włącznie z pracownikami.

Tylko ona mogła sprawić, aby na mojej twarzy choć na chwilę pojawił się naiwny uśmiech.

Równy rytm wystukiwany przez kilkunastocentymetrowe obcasy wprowadzał mnie w trans, a długie nogi i kołyszące się biodra przykuwały uwagę niejednego mężczyzny. Jednak to determinacja i serce, jakie wkładała w walkę o porzucone dzieci, były tym, za co ludzie ją szanowali. Macy Becker, psycholożka świeżo po doktoracie, podziwiana była przede

wszystkim przez swoich podopiecznych. A teraz, ku zazdrości ochroniarza, pana Jacobsa z księgowości i jej własnego szefa, była cała dla mnie.

Zazwyczaj, kiedy zapraszała mnie do siebie, nie zwiastowało to optymistycznych informacji. Często się spotykałyśmy w restauracjach czy parkach, jednak rzadkością było, aby wzywała mnie do biura. Świadomie wykorzystywała to miejsce, aby przywołać mnie do porządku, wzbudzić we mnie resztki przyzwoitości i nadać naszej relacji odrobinę powagi. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć, ile razy byłam tutaj ze względu na swoje dobre albo poprawne zachowanie. Macy przez swoją wrodzoną dobroć musiała się uciekać do różnych sztuczek, aby mnie okiełznać. Smutny, a zarazem poważny biurowiec był jednym z popularniejszych instrumentów jej manipulacji, bo nikt tu nie chciał przebywać. Piętnaście minut starczało, abym przystała na każdą jej prośbę. Dzieciaki z trudną przeszłością zazwyczaj nie przestrzegają wyznaczonych zasad czy praw, zarówno tych zwykłych, jak i moralnych. A ja z całą pewnością do takich przypadków się zaliczałam. Tam, gdzie mogłam iść pod prąd, świadomie bądź nie, z uśmiechem na ustach to robiłam. Po dziesiątkach rozstań i zawodów nauczyłam się, że na świecie jestem sama. Historię moich tragedii można byłoby wystawiać w teatrach, a i tak uznano by to za przekoloryzowane. Moje życie było jak rzeka – cały czas w ruchu. Jedyne, czego byłam pewna, to przeżytych doświadczeń. Łaknęłam adrenaliny i skrajnych emocji. Uzależniłam się od nich z taką łatwością, jak można uzależnić się od używek. Do czasu.

– Sophie – jęknęła Macy, opierając opalone dłonie na blacie biurka. Długie palce zwieńczone klasycznym eleganckim frenczem na paznokciach stukwały rytmicznie o drewnianą powierzchnię. Jej karcący wzrok wywiercał mi dziurę w głowie. Chociaż dzisiaj było w nim jeszcze coś innego. – Turniej pokera? Znowu? – zapytała zdruzgotana. Obie wiedziałyśmy, że to pytanie należało do retorycznych.

Przywołałam w pamięci spotkanie zorganizowane po lekcjach w szkolnej piwnicy. Gdyby nie uparty woźny, wygrałabym dwadzieścia dolarów. Moim największym hobby, a zarazem dużą wadą, było pakowanie się w kłopoty. Gry karciane są jedną z tych rozrywek, które dostarczają szybkiego dreszczyku emocji, zwłaszcza gdy masz ostatnie własne pieniądze. Teraz pozostały mi już tylko takie najprostsze formy podniesienia poziomu adrenaliny. Pomimo czystości, jaką zachowywałam od wielu tygodni, mózg chciał wypełnić dziury wykopywane latami.

– Blackjack był dwa tygodnie wcześniej – oznajmiłam znudzona, rozpierając się na krześle. – Wiesz, że z Charlie nie lubimy się powtarzać.

Czekałam, aż Macy wybuchnie. Tak było zawsze. Zwracała mi uwagę, ja się buntowałam, ona krzyczała, ja się na jakiś czas uspokajałam. Ona, ku mojemu zaskoczeniu, tylko przewróciła oczami, co przy jej prawie dziecięcych rysach i zielonych oczach wyglądało komicznie. Mimo że miała już prawie czterdzieści lat, wyglądała na góra dwadzieścia pięć. Sama raz byłam świadkiem, jak spytali ją o dowód. Natura obdarowała Macy niezwykłymi genami i jakiś czas temu po prostu przestała się starzeć. A to nawet nie był jej największy atut. Moja opiekunka to przede wszystkim cholernie inteligentna i odcytana osoba. Na swojej drodze nie spotkałam nikogo, kto mógłby stanowić dla mnie autorytet, ale ona była temu najbliższa. Imponowało mi, z jaką gładkością przekonywała ludzi do swoich racji siłą argumentu. Zrobiłaby karierę jako polityczka. Uwielbiałam jej słuchać, zwłaszcza gdy zapędzała się i mówiła mi o swojej pracy więcej, niż powinna. Kocha to, co robi, a świadectwem tego jest chociażby fascynacja, z jaką o tym opowiada.

Nawet chcąc być groźna, nie mogła wyzbyć się postawy zatroskanej starszej siostry. Lubiłam Macy, nawet bardzo. Była ze mną od początku. Przeżyłyśmy razem piękne wzloty i dramatyczne upadki. Nierzadko irytowała mnie swoim czepialstwem, ale wiedziałam, że wciąż robi to dla mojego dobra.

– Znowu ta dziewczyna – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Mówiłam ci, że nie jest to dobre towarzystwo w twoim wypadku. Źle to wygląda przed rodzinami, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę również twoją... – odchrząknęła – rozrywkową przeszłość. Te wasze imprezy przyprowadzają mnie tylko o ból głowy. Ona tylko ściąga cię na złą stronę i zaszczepia w tobie głupie pomysły. Chciałabym zauważyć, że twoja kartoteka jakoś specjalnie się nie poprawia. Wiesz, że nie lubię ci przypominać, co mówili lekarze: najmniejsza pokusa może być zgubna. – Przybrała matczyzny ton, nadając naszej rozmowie charakter zwykłego rodzicielskiego pouczenia.

– Nie będziesz mi mówić, kto jest dla mnie dobrym towarzystwem. Już i tak sporo poświęciłam – odpyskowałam. Za każdym razem, gdy wracała do tego tematu, krew w żyłach mi się gotowała. Samo wspomnienie uruchamiało moje ciało.

Byłam wdzięczna osobie, która powierzyła moją sprawę właśnie Macy, ale jej protekcja nie była dożywotnia. Miała się zakończyć wraz z moją pełnoletnością. Charlie za to była moją jedyną przyjaciółką i choć znałam ją krócej, ona nie zostawi mnie, gdy tylko skończę osiemnaście lat.

– Zresztą wiesz, że od wypadku jestem grzeczna – dodałam.

Zupełnie zignorowała moją odpowiedź.

– Staram się pomóc ci, odkąd skończyłaś dwa lata – odparła chłodno.

Poczułam znajomy ucisk w żołądku. Macy nie była gotowa na powrót do nocy mego wypadku. Odnosiłam wrażenie, że wypierała ten temat, gdy tylko wkładał się do rozmowy. Traktowała to jak porażkę.

Przeszła zgrabnie na koniec gabinetu i sięgając do metalowej szafki nad sekretarzykiem, wyciągnęła z niej grafitową teczkę, po czym ponownie obróciła się do mnie na pięcie.

– Znalazłam ci rodzinę – powiedziała, a ja nie mogłam myśleć o niczym innym, jak o jej cudownej błękitnej garsonce i o tym, jak idealnie na niej leży. Widząc mój brak reakcji na tę nowinę, popstrykała mi palcami przed nosem. – Sophie! Słyszałaś, co powiedziałam? Skup się.

Starając się wykonać polecenie, pokiwałam głową, aby kontynuowała. Słowa, które chwilę wcześniej wypowiedziała, dotarły do mnie, ale nie zrobiły większego wrażenia. Już nie.

– Otóż jest to rodzina inna niż te, u których do tej pory mieszkałaś – mówiła dalej, a na jej usta bardzo dyskretnie wkradł się uśmiech. Chciała go ukryć, aby pozostać profesjonalna. – Hammfordowie są bardzo odpowiedzialni, a przede wszystkim mają bardzo dobre warunki mieszkaniowe. Nie będzie to oczywiście typowa adopcja, zważywszy na twój wiek. Wiem, że nie chcesz już przechodzić przez cały proces, ale jest to niesamowita szansa. Zobowiązali się do utrzymywania cię przez pięć następnych lat, abyś mogła stanąć na nogi. Skończysz szkołę, a nawet zapłacą ci za studia. Będziesz jakby ich lokatorem, ale bez kosztów najmu i wyżywienia. – Podała mi teczkę z historią rodziny. Niechętnie ją wzięłam i z jeszcze mniejszym entuzjazmem otwierałam. – I są bardzo weseli – dodała i uśmiechnęła się pod nosem, ukazując urocze dołeczki.

Przekładałam kartki akt i przyglądałam się szczęśliwej rodzinie. Typowa rodzina z wyższej klasy, opis nieróżniący się niczym od tych, które już mi pokazywano. Moją uwagę na chwilę przykuła fotografia Hammfordów na wakacjach. Rodzice byli na jachcie, kobieta trzymała

szoty żagli, a mężczyzna z czapką kapitańską stał za sterem. Przed nimi na pomoście do zdjęcia pozowała trójka dzieci, dwóch nastoletnich chłopaków i dziewczynka, wszyscy ubrani niemal identycznie – w pasiaste biało-granatowe komplety. Fotografia bardziej przypomniała reklamę Ralphi Lauren'a niż obraz normalnej rodziny. Powstrzymałam prychnięcie.

– To zdjęcie sprzed paru lat – zaznaczyła Macy, gdy zauważyła moje zainteresowanie. – Zapewniam cię, że ich polubisz. Są wyjątkowi, przysięgam. Tylko się postaraj, błagam – poprosiła łagodnie. Pierwszy raz z takim przejęciem opowiadała o jakiejś rodzinie.

Ostrożnie chwyciłam stertę papierów, które mi przekazała. Powoli wertując kartki, czytałam niezobowiązujące notatki i listy polecające od znajomych oraz pracodawców. Znalazły się jeszcze jakieś zdjęcia, ale starałam się je omijać. Gdy zapamiętywałam twarze rodzin, rodziły się we mnie zgubne nadzieje.

– Nie jestem za stara? – Podniosłam obojętny wzrok na Macy. Nie spodziewałam się, że ta sprawa będzie miała ciąg dalszy. – Będę prawie pełnoletnia, jak już proces się zakończy. To nie ma sensu. Jakim cudem w ogóle wróciłam do puli?

– Sophie, miałaś tak nie mówić. Czuję się, jakbym coś sprzedawała – jęknęła, karcąc mnie za używanie zakazanego słowa. Jednak ja uważałam, że to określenie idealnie pasowało. W końcu w istocie wpadałam do grupy dzieciaków, które czekały, aż ktoś łaskawie zabierze je z domu zastępczego. Wylosuje z puli.

– Wracając do tematu. – Klasnęła w dłonie, a złote bransoletki na jej nadgarstkach zadźwięczały, obijając się o siebie. – Nie martw się, myślałam o tym. W przypadku gdy najszybciej, jak się da, zakończymy proces wstępny, będziesz parę miesięcy przed osiemnastką. – Pochyliła się w moją stronę, konspiracyjnie ścisząc głos do szeptu. – Jest taka możliwość, jeżeli odrobinę obejdziemy system.

– Obejdziemy system? – Wyprostowałam się na krześle. Słowa, które usłyszałam, przykuły moją uwagę bardziej niż wszystko, co powiedziała wcześniej, ponieważ Macy trzymała się zasad. Bardzo.

– Mhm – przytaknęła dumnie.

– Jak?

– Teoretycznie jest możliwość adoptowania osoby dorosłej albo takiej, która wkrótce dorosłość osiągnie. Proces nie jest krótki, ale jako że ja

mam pewne wpływy i Hammfordowie również, to uda nam się go zamknąć szybciej. Trochę nagniemy prawo – oznajmiła zadowolona, wygodnie rozsiadając się naprzeciw mnie. Sprawiała wrażenie, jakby oczekiwała, że powiem jej, że mi zaimponowała.

– To i tak będzie parę miesięcy przed moimi urodzinami. Już mogę zostać tu, gdzie jestem, i wyjść po osiemnastce.

Od roku przebywałam w jednym z większych domów zastępczych dla nastoletnich dziewczyn. Nie ukrywałam przed Macy faktu, że było tam jak w piekle. Siedem nastolatek w okresie dorastania na stu metrach kwadratowych to dosłownie piekło. Pierwszy raz w swojej historii mieszkałam z taką liczbą osób. Już wcześniej zaznałam braku prywatności, ale teraz, gdy dzieliłam pokój z trzema dziewczynami, prywatność była starą zapomnianą legendą. Jako dziecko miałam okazję – bo szczęściem tego nie nazwę – mieszkać z paroma rodzinami, które się na mnie zdecydowały. Jednak każdorazowo kończyło się to tak samo. Odrzuceniem.

Państwo Orlando, u których obecnie zamieszkiwałam, również chcieli się mnie pozbyć. Nie zostało to powiedziane na głos, ale dało się wyczuć w ich stosunku do mnie. Od mojego wyjścia ze szpitala ich podejście do mnie było bardzo sceptyczne, mieli wyrzuty sumienia przeplatane z pogardą. Unikali mnie, a nasze relacje znacznie się ochłodziły. Wcześniej chociaż udawali, że interesuje ich, co robię, teraz mogłam liczyć najwyżej na zdawkowe „dzień dobry” czy „dobrej nocy”. Nie dziwiłam się im. Sytuacja z kwietnia przerosłaby nawet najbardziej wyrozumiałe jednostki.

– Według prawa, jeżeli proces rozpocznie się przed osiągnięciem pełnoletności, a dalej będziesz chciała chodzić do szkoły, to jest możliwość adopcji w przyspieszonym tempie.

– Czyli nie obchodzimy systemu, tylko wszystko jest legalnie – westchnęłam zawiedziona. Już miałam nadzieję, że obserwuję załążki ewolucji zachodzącej w kobiecie.

– Tak i nie. Jeżeli się zdecydujesz teraz, już za pół roku będziesz mogła się wprowadzić. Hammfordowie są zdecydowani, aby cię poznać. Kolej na twój ruch.

– Pół roku?!

– Plus minus – doprecyzowała. – Ale legalnie zamieszkałabyś tam dopiero za rok. Państwo Orlando nie będą mieli nic przeciwko, jeżeli przeprowadzisz się szybciej.

Oczywiście, że nie mają nic przeciwko. Mogę się założyć, że sami to zaproponowali. Szybko przeanalizowałam sytuację, jakby faktycznie to było wyjście. Obiecałam sobie, że nie narażę się na więcej przykrości, ale byłam już starsza, umiałam się postawić.

– Jeżeli są tacy szczęśliwi, to po co im problem? – Odgarnęłam włosy, badawczo przyglądając się Macy.

Wyciągnęła w moją stronę rękę, jakby chciała pogłaskać mnie po głowie, ale się zawahała. Wiedziałam, że mam u niej specjalne względy. Traktowała mnie inaczej niż resztę swoich podopiecznych. Zależało jej na tym, abym wreszcie odnalazła swoje miejsce, i zawsze brała winę na siebie, jeżeli coś nie wyszło. Chociaż zazwyczaj to ja stawiałam opór i sprawiałam problemy, ona nawet nie miała siły mnie strofować. Odwiedzała mnie częściej niż innych podopiecznych, a ja się zastanawiałam, jaki ma w tym cel. Czy tylko sprawdzała moje warunki, czy za mną tęskniła.

Odchyliłam się do tyłu i wpatrywałam się w dobrze mi znany wzór na suficie. Gęsta szachownica w odcieniach szarości.

– Skarbie, zrozum, że nikt ich do tego nie zmusza. Robią to, bo chcą ci pomóc. – Jej radość rozświetlała pomieszczenie.

– Pomóc? – Staralam się nie brzmieć cynicznie, ale wątpliwości były silniejsze niż nadzieja.

– Słyszeli od znajomych o takiej formie adopcji, a twoja historia podobno ich wzruszyła.

Roześmiałam się gorzko. Moim zamiarem nie było zranienie Macy, ale byłam już za stara na te puste obietnice. Znudziły mnie.

– Wypadek ich poruszył? – parsknęłam pogardliwie. Ostatnie, czego chciałam po tylu nieudanych adopcjach, to litość. – Czy może też lubią zagadki?

– Sophie, potraktuj to poważnie.

– Mówisz tak co najmniej raz na parę lat, a jak potem się okazuje, że nie jestem słodkim dzieciaczkiem, ale kolejną gębą do wykarmienia, to im się nudzi. Ja i tak miałam szczęście – odpyskowałam, od razu żałując swoich słów.

Widziałam, jak przez twarz kobiety przemknął cień bólu. Nie chciałam jej ranić. Rzucanie komentarzy w takim tonie było nie w porządku, zwłaszcza że wciąż przeżywała śmierć podopiecznej. Mimo że minęło już kilka lat od samobójstwa tej dziewczyny, Macy za każdym razem

miała łzy w oczach. Czułam, że jestem jej odkupieniem po tym, jak jedna z jej pierwszych podopiecznych trafiła do potworów.

W ramach przeprosin posłałam jej pokrzepiający uśmiech.

– Dlaczego ja? – dodałam już ciszej, starając się wykazać minimalne zainteresowanie, a ona ponownie się ożywiła.

– Rok temu na studia wyjechał ich starszy syn Jasper, chcieli podjąć się adopcji już znacznie wcześniej, ale nie wiedzieli, od czego zacząć. Po dłuższych rozmowach, między innymi ze znajomymi, uznali, że chcą dać szansę dziecku... – odchrząknęła. – Starszemu dziecku... które rzadko takową dostaje. Skontaktowali się z agencją, a ta przybliżyła im zasady i przekierowała do mnie. Powiedziałam im, jak ciężko mają osoby w twoim lub zbliżonym wieku, i przedstawiłam akta moich dzieciaków. – Mrugnęła do mnie, a ja poczułam, że się napinam. – Od razu zdecydowali, że chcą poznać ciebie.

– Chyba nie mówiłaś im o moich rodzicach i całej reszcie? – Usłyszałam, jak mój głos drży.

– Tylko tyle, ile musiałam. Naturalnie wiedzą o twoim wypadku i wiedzą też, że jesteś w trakcie terapii. – Odpowiedziała rzeczowo, a ze mnie uleciał stres. Oczywiście, musiała im nakreślić moją historię i moje problemy, ale ograniczała się do niezbędnego minimum, nie ingerując w moje emocje.

Miałyśmy niepisaną umowę, że tę część o rodzicach pozostawi mi na moment, gdy będę gotowa podzielić się intymną przeszłością z nową rodziną. Rodziny wiedziały tylko tyle, że moi rodzice nie żyją, i tak miało zostać, dopóki nie zaufam komuś na tyle, aby się podzielić tą jedną z wielu skaz na moim życiorysie.

– Kontynuując – podjęła – uznali, że właśnie tobie chcą pomóc stanąć na nogi. To świetnie, nie uważasz?! Nie martw się, Liz jest naprawdę wspaniałą kobietą, a Andrew to wpływowa persona. Żle ci nie będzie. W końcu wrzucisz na luz. – Kąciki jej ust drgnęły, na co tylko się skrzywiłam. Wyglądała co najmniej dziwnie, gdy starała się być, jak to mówiła, „na czasie”. – Wiem, że tym razem to jest to – ciągnęła, powoli zbliżając się ku mnie. Czułam, że zaraz będzie oczekiwać kontaktu fizycznego. Nienawidziłam tego. Chociaż z Macy znałam się już prawie piętnaście lat, to i tak wciąż miałam z tym lekki problem.

Chwyciła mnie w ramiona. Poczułam zapach jej drogich perfum i dotyk miękkiej skóry. Kręcone włosy kobiety połaskotały mój policzek.

Moje ciało zareagowało lekkim wzdrygnięciem, ale ostatecznie przełamałam wewnętrzną niechęć. W końcu z nikim nie czułam się tak bezpieczna jak z nią. Była nieodłączną częścią mojego życia. I chciałam, żeby nią została, nawet gdy prawo nie będzie tego od niej wymagało. W takich chwilach żałowałam, że nie mogę z nią być cały czas, że to nie ona może mnie wziąć.

Pociągnęła nosem, odsuwając mnie od siebie. Ukrywała wzruszenie. Zauważyłam, jak ukradkiem ociera łzy.

– Nie płacz. Postaram się, obiecuję – zapewniłam ją, cofając się zaraz po tym, jak zwolniła uścisk. Potarła ramiona i nerwowo przygryzła wargę. Chwilę stałyśmy w ciszy, którą ostatecznie przełamała długim westchnieniem.

– Wiem, skarbie, wiem. – Ucałowała moje oba policzki, zostawiając na nich mokre ślady. Wylałam je z niesmakiem, na co w odpowiedzi zachichotała. Znała mnie i wiedziała, że tak reaguję na jakiekolwiek zbliżenie. – Nie mogę się doczekać, aż się poznamy! Zbierajmy się, umówiłam się z nimi za godzinę.

– Za godzinę? – Uniosłam brwi zaskoczona. Takiego tempa się nie spodziewałam.

– A jesteś zajęta?

– Nie. – Wciąż zszokowana pokręciłam głową.

Wzięła z biurka markową torebkę i otworzyła drzwi gabinetu.

– To już. – Skinęła na mnie ręką. – Chyba lepiej się zdecydować jak najszybciej.



Rozdział 2.

Sophie

14.01.2017 (sobota)

Przemierzając ulice Sydney, wiedziałam, że tutaj należę. Nie miałam swojego własnego miejsca, domu czy pokoju, ale miałam ten kraj. Energia buzująca w tym mieście dawała mi upragnione poczucie przynależności. Sydney wciągało mnie swoim pędem, a bliskość wody pozwalała odechnąć. Niegdyś po każdej imprezie uciekałam z centrum nad ocean. Wschód słońca odbijający się od fal był dla mnie uspokojeniem. W Sydney znalazłam potrzebny balans. Może i nie byłam rodowitą Australijką, ale za taką się uważałam. Mieszkalam tu większość swojego życia. Wiem, skąd pochodzę, jednak mój wyjazd z ojczystego kraju miał miejsce piętnaście lat temu. Od tamtej pory nie opuściłam Australii, nie zwiedzałam świata. Właściwie nawet nie oddalałam się od Sydney. Dorastając, nabyłam lokalny akcent, a ludzie nie podważali mojego obywatelstwa.

Lubiłam to, że temperatura była tu wyższa niż w Nowym Jorku. Nie żebym pamiętała cokolwiek z okresu mieszkania tam, po prostu internet nie był mi obcy. Pewnej nocy, gdy miałam dwanaście lat, rozpaczalam bardziej niż zwykle nad swoim losem. Czułam się zagubiona i samotna jak nigdy przedtem. Chciałam złapać się czegoś, co będzie moje, co będzie mnie definiowało. Nie mogłam opowiedzieć koleżankom o swoich rodzicach czy pochwalić się fajnym pokojem. Wśród rówieśników nie miałam innego określenia niż „sierota”. Moim pochodzeniem mogłabym wzbudzić zainteresowanie, ale wołałam, żeby było to coś tylko mojego. Z takim założeniem uciekłam do kafejki internetowej i za prawie wszystkie swoje oszczędności zatonałam w przeglądaniu kolejnych stron Wikipedii o życiu w Nowym Jorku i Stanach Zjednoczonych.

Błyskawicznie ucieszyłam się, że to właśnie w Australii przyszło mi się wychowywać. Wtedy też zrozumiałam, że utożsamianie się z USA nie jest czymś, z czego należy być dumnym. Mit sprzedawany przez Hollywood upadł po pierwszych artykułach o strzelaninach w szkołach i ogólnym poziomie przestępczości.

To w Australii było moje miejsce na ziemi. To właśnie w Sydney urodziła się moja mama. Tutaj też dorastała. Pośród fal oceanu i śpiewu zachodniego wiatru. Na każdym zdjęciu miała przy sobie deskę do surfowania. Była tu sobą, zupełnie jak ja. Dlatego też myślę, że musiała bardzo kochać mojego ojca, aby wyprowadzić się do miejskiej dżungli, jaką był Nowy Jork. Może gdyby tu została, wciąż cieszyłaby się życiem na wodzie. Nie pamiętałam mamy, ale czułam, że cały czas jej duch jest gdzieś przy mnie, dogląda i prowadzi – czasem wyboistymi, ale właściwymi drogami.

Przez cały okres mieszkania tutaj bałam się, że zostanę deportowana. Strach przed przymusowym opuszczeniem kraju był większy niż ten, który towarzyszył mi podczas spotkań z licznymi rodzinami. Gdzieś w tyle głowy ciążyło mi to. Nawet jeżeli prawdopodobieństwo było znikome, jako dzieciak byłam tym straszona na tyle często, że wywołało to u mnie traumę. Poprzednie rodziny miały tendencje do używania tego argumentu, a ja, zważywszy na młody wiek, go nie kwestionowałam. Dorośli przecież zawsze mieli rację, a przynajmniej tak dyktował mi mój dziecięcy umysł.

Dlatego od najmłodszych lat wiedziałam, że na wywiadach z potencjalnymi rodzinami musiałam pokazać się z jak najlepszej strony, umieć się sprzedać.

Na początku starałam się udawać idealne dziecko, jednak po dzieciątkach nużących rozmów przestałam grać. Im byłam starsza, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie ma to najmniejszego sensu. Rzeczywistość weryfikowała złudne wyobrażenia, a moja prawdziwa natura z roku na rok coraz to pewniej wychodziła na wierzch. Nie mogłam patrzeć, jak rodziny, które polubiłam, decydowały się na noworodki. Te wszystkie procesy w moim odczuciu zbliżone były do adopcji psa ze schroniska. Większość zawsze wybierze bezpiecznego szczeniaka, którego da się jeszcze ułożyć. Już przy drugiej zmianie rodziny byłam na przegranej pozycji. W mojej kartotece wyryte było zagrożenie. Opuszczona, wykorzystana przez swoją naiwność i czyste serce, przechodziłam bunt

i wszystkim musiałam dać o tym znać. Tak też skończyłam – zbuntowana i samotna. To wykształciło u mnie grubą powłokę, blokującą moją psychikę przed odrzuceniem. Nie do przebicia. Mało co mogło mnie złamać. Inwestowanie swoich pokładów emocjonalnych w zniszczoną nastolatkę nie było tym, o czym marzyła standardowa bezdzietna para.

Wyglądałam przez okno samochodu Macy, śledząc oddalające się sylwetki przechodniów. Obserwowanie ludzi sprawiało mi radość. Uwielbiałam analizować emocje malujące się w ich oczach. Każdy człowiek był inny, każdy miał swoją historię wypisaną na twarzy. Swoją opowieść, którą z biegiem lat nauczyłam się odczytywać, ukrywając przy tym własną. Podglądałam nieme rozmowy spacerowiczów i wyobrażałam sobie, jak mogą brzmieć ich głosy, a także o czym tak intensywnie dyskutują. Uzupełniało to pustkę wewnątrz mnie, zupełnie jakbym była częścią tych luźnych pogawędek. Zazdrościłam dzieciom, które z dziadkami przechadzały się wzdłuż drogi, jedząc lody, albo rodzicom, którzy z troską rugają buntujące się w sklepach pociechy. Zazdrościłam głębszej relacji. Historii.

Wystawiłam rękę za szybę, machałam do przypadkowych przechodniów i cieszyłam się, kiedy mi odpowiadali tym samym gestem. Powietrze przy pędzącym samochodzie stawiało opór mojej dłoni. Uwielbiałam, jak wiatr spowodowany prędkością przyjemnie rozwiewał mi włosy. Macy włączyła muzykę i cicho nuciła pod nosem tekst *Cheri Cheri Lady* zespołu Modern Talking. Przewróciłam oczami, udając, że nie znam słów. Trąciła mnie łokciem, abym do niej dołączyła.

– Nie ma mowy – zaparłam się, powstrzymując uśmiech.

Nie mogłam się przyznać, że nawet lubię ten utwór. Jednak obie wiedziałyśmy, jak dobrze znam tekst. Kłóciło się to z moją obecną fascynacją cięższymi brzmieniami. Roztaczającej się dookoła radości kobiety nie byłam w stanie się oprzeć. Na jednej piosence się nie skończyło. Te ulotne chwile, gdy czułam się dobrze, skrzętnie katalogowałam w głowie.

Po dłuższym koncercie, jaki z Macy dałyśmy w samochodzie, dojeżdżałyśmy na miejsce.

Teraz dopiero miała się zacząć zabawa.

Podkuliłam nogi pod siebie, brudząc białą tapicerkę mercedesa kobiety. Przeklęłam w myślach. Jak ona to zauważy, nie odkopię się z jej agresywnych SMS-ów do przyszłego tygodnia.

Cała beztroska i szczęście rozplynęły się jak za dotknięciem magicznej różdżki, gdy tylko samochód zatrzymał się przy chodniku. Nagle poczułam ścisk w żołądku. Zawroty głowy, nieodłączna część mojego życia, wzmogły się kilkakrotnie. Drżącą ręką wyjęłam z tylnej kieszeni saszetkę z tabletkami na uspokojenie. Połykając dwie, czułam, jak z trudem przechodzą mi przez gardło. Odrobinę mnie otumaniały, ale przede wszystkim wyciszały natłok myśli. A te obierały niebezpieczne kierunki.

Skrzywiłam się, podążając pustym wzrokiem za Macy.

To już.

Od pierwszego spotkania z Hammfordami minęło siedem miesięcy. Polubiłam ich. W istocie poznałam tylko dorosłych członków rodziny. Ich dzieci były mi zupełnie obce, pomijając fakt, że dostałam o nich krótkie notatki wraz ze zdjęciami. Zazwyczaj przed wprowadzeniem się poznawałam całe rodziny. W ich przypadku dostałam informację, że lepiej będzie odłożyć to w czasie i dać chwilę, aby oswoili się z sytuacją. Nie wróżyło to dobrze, aczkolwiek Macy upierała się przy swoim i zapewniała, że to naprawdę nie jest problem.

Kobieta wybiegła z pojazdu, po czym wyszarpnęła moją walizkę z bagażnika. Walizka była czarna, plastikowa i nie za duża, ale właściwie mieściła wszystko, co miałam. Otrzeptałam stare džinsy i obciągnęłam materiał jedwabnego czarnego sweterka, na który Macy nalegała. Uważała, że w połączeniu z moimi przetartymi spodniami i czarnymi conversami wygląda bardzo korzystnie i nawet elegancko jak na mnie. Czasami Macy rzucała bezmyślne komentarze odnośnie do mojego wyglądu, ale nie umiałam być na nią zła. Miewałam tendencje do wybierania strojów, które jak najmniej wpływały na mój dyskomfort – czyli w skrócie były sporo za duże. Oczywiście sweterek i buty były prezentami od Macy na moje urodziny. Zawsze obdarowywała mnie ubraniami, zazwyczaj markowymi i takimi, w których w jej opinii wyglądałam najlepiej. Naturalnie nasze style się nie pokrywały i większość prezentów od niej lądowała na samym dnie szafy, a wyciągałam je tylko po jej namowach albo na nasze spotkania. Wyznawała zasadę „ubieraj się drogo i wyglądaj z klasą”, co w moim wypadku było śmieszne, bo pieniędzy za dużo nigdy nie posiadałam. Chociaż uważałam to za wyjątkowo snobistyczne, Macy nigdy nie dała po sobie poznać, że pochodzi z bardzo bogatej rodziny.

Przywołałam się do porządku, uważnie śledząc ruchy mojej opiekunki. Jej całe ciało niemal drżało z ekscytacji.

– No chodź, zawsze warto być trochę przed czasem. – Pociągnęła mnie za rękę, a na moje barki narzuciła szmaciany plecak. Ugięłam się pod jego ciężarem. Tam miałam najważniejsze rzeczy.

Pogładziłam kciukiem przypinkę w kształcie gitary, przymocowaną do lewego paska plecaka. Zbierałam przypinki, odkąd pamiętałam. Miały różne kształty, wielkości i kolory. Zdobiły tył mojego plecaka, tworząc kolorową mozaikę. Wychodziło to naturalnie, jeżeli jakaś mi się spodobała, doczepiałam ją na wolne miejsce. Nie przywiązywałam do nich specjalnej wagi, były po prostu ładne, tylko jedna przypinka miała dla mnie wartość sentymentalną. Dlatego też przeznaczyłam dla niej specjalne miejsce z przodu. Macy mówiła, że znalazła ją przypiętą do mojej dziecięcej torby, gdy mnie poznała. Zachowała ją i oddała mi, gdy skończyłam dwanaście lat.

Macy skierowała nas w stronę jednej z posiadłości na końcu ulicy.

Stałyśmy przed masywną żelazną furtką, otoczoną ceglanym, wysokim na trzy metry murem. Jadąc tutaj, zdawałam sobie sprawę, że zbliżamy się do jednej z droższych dzielnic. Dover Heights należy do najbardziej prestiżowych w Sydney. Rezydencje znajdowały się nad samym oceanem. Było to wciąż blisko centrum, ale mimo wszystko odpowiednio daleko, aby nie odczuwać zgiełku miasta i móc odetchnąć na plaży. Głównie mieszkali tu wielodzietne, wpływowe rodziny, które potrzebowały trochę prywatności, ale nie chciały uciekać za miasto, bo korki w Sydney są najgorsze w całej Australii, a z biura w samym środku biznesowego miasteczka jechałyśmy prawie dwadzieścia minut.

Macy zadzwoniła domofonem z kamerą, a po chwili ciężka furtka bezdzwicznie schowała się w murach.

Wkroczyłyśmy do spektakularnego, kolorowego ogrodu. Zupełnie nie tego się spodziewałam po dzielnicy smutnych, bogatych ludzi, którzy wydają miliony, aby ich domy przypominały szpital bądź muzeum. Na szczęście nudny minimalizm nie zaraził tego domostwa. Uderzyła mnie intensywna woń kwiatów wymieszana z bryzą oceaniczną. Nie mogłam oprzeć się wizji, jak godzinami będę leżeć na tej miękkiej zielonej trawie.

Na końcu ogrodu znajdował się dwupiętrowy budynek utrzymany w stylu nadmorskich wakacyjnych willi. Tych, które miały imitować wiejskie posiadłości. Elewacja niemal w całości była biała, tylko miejscami nieśmiało zaakcentowana jasnym drewnem. Masywną bryłę otaczał szeroki ganek, na którym oprócz huśtawki stały rzędy doniczkowych

kwiatów i warzyw. Jedynym elementem wykraczającym poza utrzymany styl były okna na piętrze – sięgały podłóg jak w kalifornijskich willach. Mimo wszystko chroniły prywatność mieszkańców, bo były przyciemnione od zewnątrz. Dom stojący na pagórku pozwalał mi marzyć o widoku pięknego, rozciągającego się aż po horyzont oceanu. Nie mogłam się doczekać, aż o świcie zanurzę się w przyjemnej ciepłej wodzie.

Ogród, do którego wpierw weszliśmy, zapierał dech. Równo przystryżoną trawę ozdabiały niby w nieładzie posadzone kwiaty w kolorach bieli, czerwieni i błękitu. Dostrzegłam w tym pewien patriotyczny wzór. Wzdłuż wysokiego płotu rosły drzewa liściaste, które soczystymi owocami miały odgrodzić ciepło domu od uciążliwości świata zewnętrznego. Na niektórych gałęziach pomimo późnej pory roku zdawały się ponownie rozkwitać kwiaty.

Podwórze odpowiadało estetyce domu. Dużo się tu działo. Roślinność stanowiła schronienie dla wszelkich owadów i ptaków, które słychać było już od wejścia. Zaproszenie natury do tej posiadłości sprawiło, że momentalnie poczułam sympatię do pomysłodawcy.

Chyba nigdy nie znajdowałam się w piękniejszym miejscu, a przynajmniej niczego takiego nie mogłam sobie przypomnieć. To był dom, o którym nie odważyłam się nawet marzyć. Bez śmieci na podwórku, bez odrywających się dachówek, bez zacieków. Sama jego wielkość świadczyła o tym, że mam szansę na swój pokój. Nie ludziłam się, że będzie mi dane kiedyś doświadczyć takiego luksusu, chyba że sama go sobie zapewnię.

Idąc po wiodącej do wejścia ścieżce, usypanej z małych białych kamyczków, poczułam znajomy strach wymieszany z lekkim podekscytowaniem. Zaśmiałam się, patrząc, jak Macy na szpilkach z trudem pokonywała tę drogę. Wszystko było zapierające dech, nieziemskie... do tej pory. Teraz czas na zderzenie z rzeczywistością.

Zaraz ich poznam.

Całą czwórkę.

Technicznie dwójkę.

Spotkałam się już wielokrotnie z państwem Hamford, ale nie z ich dziećmi. Podobno najstarszy syn miał trudny semestr, a pozostała dwójka nie była, jak to Liz określiła, „gotowa”. Dodatkowo zapoznanie miały utrudniać rozjazdy, w jakich całe wakacje się znajdowali. Każde z ich potomków zaakceptowało decyzję rodziców o adopcji, tyle że nie wiedzieli,

kim jestem. Macy próbowała mi wytłumaczyć, żebym się nie przejmowała odrzuceniem na początku, bo to może być kwestia nagłej zmiany, która nastąpi w ich życiu. Zupełnie jakbym robiła to pierwszy raz. Wątpiłam w przyjętą przez nich taktykę. Zawsze mnie to będzie bolało, pomimo że nauczyłam się rozumieć. Nienawidziłam tych pierwszych chwil, gdy obce miejsce miało stać się moim azylem, ale to jednocześnie naruszało czyjś spokój. U większości czułam zawsze to samo po zapoznaniu. Zawiedzeni ludzie, uważnie oglądający moje ciało. Zastanawiający się, czy wpasuję się w ich standardy estetyki i nie naruszę obrazka idealnej rodziny. Żałujący, że wybrali mnie, a nie szczeniaka ze schroniska. Świadomość popełnionego błędu była widoczna na ich twarzach niemal od razu. Może i odrobinę wyolbrzymiałam, jednak tak właśnie to odczuwałam. Stąd też brały się moje liczne kompleksy i brak zaufania.

Stałam na pierwszym schodku, obejmując się ramionami. Daszek nad naszą głową podparty był drewnianymi filarami. Właśnie znajdowałam się kilka metrów od mojej nowej „rodziny”. Po tym domu miałam się w najbliższym czasie pałętać i irytować jego mieszkańców. Zaburzać ich domowy mir.

Macy wyciągnęła rękę w stronę potężnych, mahoniowych drzwi i pewnie w nie zapukała. Dochodzące ze środka energiczne kroki sprawiły, że na chwilę wstrzymałam powietrze w płucach, aby zaraz zacząć szybko i płytko oddychać.

To się działo.

– Wszystko będzie dobrze. – Macy pokrzepiająco ścisnęła mój nadgarstek.

Po chwili otworzyła nam jasnowłosa kobieta z szerokim uśmiechem na ustach. Miała na sobie długie białe spodnie i pasującą do nich luźną koszulę. Wyglądała jednocześnie elegancko i swobodnie.

– Macy, kochana. – Pochwyciła ją w ramiona, aby zaraz potem objąć mnie. Nie zdążyłam nawet zaprotestować. Zrobiła to tak po matczynemu, tak przyjaźnie. Aż poczułam rozchodzące się po mnie ciepło. Zaskakujące. – Wchodźcie. – Posłała mi uśmiech pełen dobroci i współczucia.

Świetnie. Nienawidzę, jak ktoś na wstępie się nade mną użala. Kolejna nieodłączna część mojego życia – litość. Współczucie obcych podążało za mną niczym kłątwa. Wiedziałam, skąd się brało. Ludzie uwielbiają pomagać nie dla samej pomocy, a dla ulotnej chwili poczucia sprawczości. Nic tak nie karmi ludzkiego ego jak świadomość, że ratuje się komuś

życie. Sympatyzowanie ze słabymi jednostkami daje siłę. Nie robią tego kierowani dobrocią, chociaż tak im się wydaje. Robią to dla siebie. Rodzina Hammfordów nie różniła się w tym wypadku od innych. Ich pomoc była spowodowana wyjazdem najstarszego syna, zapelnieniem pustki. Tylko że teraz, nauczona doświadczeniem, chciałam to wykorzystać.

Pani domu zaczęła opowiadać o tym, jak przygotowała na mój przyjazd dwa ciasta, ale jedno jej nie wyszło, więc upiekła na nowo, a jej mąż na koniec zjadł połowę. Brzmiała przy tym na zawstydzoną, jakby mnie zawiodła.

Liz od pierwszych naszych spotkań starała się, abym czuła się chciana. Nie mogłam temu zaprzeczyć. Była prawdziwą matką, taką, jaką sobie zawsze wyobrażałam. W końcu miała trójkę dzieci, więc nie brakowało jej doświadczenia. Z każdą kolejną chwilą tembr jej głosu mnie uspokajał.

Odłożyłam walizkę pod wieszakiem na kurtki, który, swoją drogą, rzadko się przydawał w tych rejonach. Już od samego wejścia dostrzegłam, że wewnątrz domu jest zdecydowanie większe, niżby się wydawało. Świeżo lakierowany parkiet z jasnego drewna i błękitne ściany pasowały do nadmorskiej rezydencji. Przedpokój jednocześnie był korytarzem ze starymi drewnianymi schodami na piętro. Idąc w stronę salonu, minęłyśmy parę wiszących na ścianach rodzinnych zdjęć, na których cała piątka spędzała czas na różnych wakacjach. Każda fotografia była opisana miejscowością i datą. Od dwudziestu lat co roku zwiedzali nowe miejsca. Od Meksyku, przez Chiny, aż po Arabię Saudyjską. Nie zdążyłam przyjrzeć się każdej fotografii z osobna, ale na pierwszy rzut oka wydawali się naprawdę szczęśliwą rodziną. Taką, gdzie już samo towarzystwo bliskich może sprawiać nieopisaną radość. Naturalnie mogło być to tylko fasadą.

Z szerokiego korytarza wolnym krokiem przeszłyśmy do największego salonu, jaki w życiu widziałam. Liz całą krótką drogę opowiadała, jak to wszyscy nie mogą się doczekać, aby mnie poznać.

Wysoki biały łuk pokryty florystycznymi zdobieniami odgradzał część przechodnią od części rodzinnej.

Pomieszczenie, nowoczesnie urządzone meblami w jasnych odcieniach beżu i błękitu, wydawało się bardzo przytulne. Na samym środku salonu stał duży, szklany stół kawowy, a wokół niego mieściły się obite zamszem fotele. Można było się z nich delektować widokiem ognia rozpalonego w staromodnym kominku albo błękitem rozciągającego się

na horyzoncie oceanu, który był widoczny także z przylegającego do salonu tarasu na tyłach rezydencji. Hammfordowie musieli uwielbiać żeglownictwo, bo wszędzie dostrzegałam tematyczne ozdoby. Małe okręty w szklanych butelkach stały wyeksponowane zaraz obok licznych pucharów i medali, głównie złotych, z zawodów w najróżniejszych sportach wodnych. Długie aż do podłogi firany pływały na wietrze, rozpraszając przy tym wpadające światło. To wszystko wyglądało jak kadr z *indie* filmu.

Na rozległej, puszystej rogówce stojącej pod samym oknem siedziały trzy osoby. Na mój widok dwie z nich poderwały się i ruszyły w naszą stronę. Z sykiem wciągnęłam powietrze.

Andrew, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o ostrych rysach, kroczył ku mnie energicznie z szerokim uśmiechem na twarzy. Za nim niepewnie człapała dziewczyna w różowej dziewczęcej sukience sięgającej do kolan. Rozpoznałam ją ze zdjęć. Była zdecydowanie młodsza ode mnie, wedle moich informacji miała trzynaście lat.

– Sophie – odezwał się mężczyzna. – Miło cię znów widzieć. Wreszcie jesteś w domu. – Ochoczo wyciągnął do mnie rękę. Podobało mi się, jak zachowywał ważny dla mnie odstęp. Najwyraźniej musiał to zapamiętać podczas jednej z naszych rozmów, gdy wyraźnie zazaczyłam, jak istotna jest dla mnie przestrzeń osobista. Wskazał na stojącą po jego lewej stronie drobną blondynkę o złocistych długich włosach niczym u Roszpunki. – To jest Clarissa. Nasza najmłodsza córka. Niech cię nie zwiedzie jej anielskie lico, to mały diabeł. – Położył dłoń na głowie dziewczyny i rozczochrał jej starannie ułożone włosy.

Spojrzałam na naburmuszoną okrągłą buzię. Była śliczna. Ciężko było to ująć inaczej. Naturalnie twarz jeszcze dojrzej i nabierze charakteru, ale już po jej rysach mogłam stwierdzić, że będzie łamać serca. Cieszyła się klasyczną hollywoodzką urodą.

– Jezuuu, tatooo – jęknęła, strącając rękę ojca. – Mów mi Clary. – Wyciągnęła dłoń w moją stronę i po krótkim, subtelnym uścisku zaraz ją cofnęła.

Jej pasywność była dla mnie zrozumiała, a z całą pewnością nie było to nic nowego. Przynajmniej starała się w pewien sposób to ukryć. Nie wiem, czy potrafiłabym się zdobyć na coś podobnego w tym wieku, na coś tak wbrew sobie. Szybko nas opuściła i usiadła obok rozwalonego na kanapie chłopaka.

Przeniosłam wzrok na niego. On za to był ode mnie starszy. Może nie jakoś specjalnie widocznie, ale z informacji przekazanych przez Macy wiedziałam, że ma dziewiętnaście lat. Jego podobieństwo do młodszej siostry było uderzające. Lekko zadarty nos, pełne różowe wargi, kolor włosów u obydwójga były niemal identyczne. Jedyne, co go wyróżniało, to gęste, urokliwie skrzycone loki do ramion i srebrny okrągły kolczyk okalający dolną wargę.

A, no i może fakt, że był nieziemsko przystojny. Ostro zarysowaną szczękę, oprószoną delikatnym zarostem, miał mocno zaciśniętą ze złości. Pośród rodziny wyróżniał się strojem, nie kłopotał się, aby wyglądać schludnie. Na sobie miał szare dresy i przetartą czarną koszulkę z nadrukiem Iron Maiden. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, jakbyśmy już kiedyś się widzieli. I nie chodziło o jego obrzydliwie piękną buźkę, którą rozpoznałam ze zdjęć, ale o uczucie ponownego spotkania.

On za to zdawał się niewzruszony moją obecnością. Ledwo uniósł wzrok znad telefonu.

– Ace! – syknęła Liz, jasno dając mu do zrozumienia, że jego zachowanie nie jest kulturalne. Blondyn tylko przewrócił oczami, wyciągając leniwie długie nogi. Zlustrował mnie od góry do dołu, po czym z niechęcią prychnął, powracając do scrollowania ekranu.

– Cześć, jestem Sophie. – Posłałam mu zawstydzony uśmiech. Starałam się brzmieć pozytywnie. Na chwilę ponownie na mnie zerknął, a jego spojrzenie spod długich ciemnych rzęs zdało się skrywać sporo sekretów.

– Wstań, przywitaj się! – zrugła go matka.

– Stąd też dobrze ją widzę – odpyskował cynicznie, nie odrywając się od komórki. Wyglądał, jakby został przyprowadzony tu siłą.

Dawno już nie spotkałam się z równie drwiącym powitaniem od kogoś, kto miał więcej niż sześć lat. Już jego młodsza siostra wykazała się większą dojrzałością.

Tak, jego zachowanie momentalnie sprowadziło mnie na ziemię. Wszystko do tej pory było idealne, już prawie opuściłam gardę.

W przeciwieństwie do swojej młodszej siostry nawet nie starał się ukryć niechęci. Na jego twarzy widziałam głównie złość, ewentualnie lekkie zaskoczenie. Od razu wyczułam wpływ, jaki ma na Clary.

Czyli to tak będzie wyglądać. Miałam mieszkać z pyszałkowatym kretyńcem z wybujałym ego.

Od razu wiedziałam, że właśnie rozpoczął między nami wojnę. Uśmiechnęłam się w duchu do siebie, wyobrażając sobie, jak bardzo będzie zaskoczony, gdy się zorientuje, że nie jestem łatwą ofiarą.

– A to jest nasz uroczy chłopiec, Ace – skwitował Andrew, rzucając w syna poduszką, którą ten zwinnie przechwycił. – Przechodzi późno-nastoletni okres buntu, ale da się z nim żyć. Jak wiesz, mamy jeszcze jedno dziecko.

– Nasz najstarszy syn Jasper obecnie jest w college’u w Stanach. Poznasz go, jak wróci w czasie przerwy. Dostał się na Harvard – dokończyła za niego kobieta, w jej tonie słychać było dumę na zmianę ze smutkiem. – Bardzo za nim tęsknimy, a jego pokój stoi od dwóch lat pusty.

Super, czyli jestem zastępczynią pierworodnego.

Macy, jakby czytając mi w myślach, poczęstowała mnie w pasie.

– Czy Sophie będzie mieszkać w jego pokoju?

– Ależ absolutnie nie! – Liz zachłysnęła się powietrzem, zupełnie jakby słowa mojej kuratorki ją oburzyły. – Przerobiliśmy pokój gościnny. Jest wyjątkowo przestronny i dochodzi do niego światło z południa. Każdy zachód słońca będzie twój, Sophie.

Uszczypnęła mnie przyjaźnie w policzek, na co lekko zmarszczyłam brwi.

Przynajmniej mogę spać spokojnie bez poczucia, że komuś coś zabrałam. Odetchnęłam z ulgą. Żyłabym w ciągłym strachu, że Jasper pewnego dnia wróci, a ja będę spała albo na kanapie, albo w nowym domu.

– Dobrze. – Usłyszałam aksamitny głos Macy tuż przy uchu. – Myślę, że mogę was już zostawić. Twoje rzeczy położyłam przy drzwiach – zwróciła się do mnie, ścisząc głos tak, abym tylko ja ją usłyszała – jakby co, to dzwoń, pisz ze wszystkim.

Wraz z jej słowami moja pewność siebie uleciała, a w jej miejsce wstąpiła panika. Zostawałam już sama tyle razy, ale do tego uczucia nie dało się przywyknąć. Nagła pustka wyżerała mnie od środka. Macy wyszła z salonu, a ja jak posłuszna kaczuśka podążyłam za nią. Zostałam bez zawahania nową rodzinę. Idąc w ślad za kobietą, starałam się powstrzymać drżenie dolnej wargi. Nie chciałam, aby zniknęła i pozostała mnie na pastwę gburowatego rodzeństwa.

– Macy, proszę. – Poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. Kobieta zatrzymała się w pół kroku. Nie obróciła się. – Oni mnie tu nie chcą. To będzie piekło.

Sama nie byłam przekonana co do wypowiedzianych słów, ale nagle, gdy Macy miała mnie opuścić, wszystko stało się realnie przytłaczające. Nie zakładałam, że jeszcze kiedykolwiek w takiej sytuacji będę się czuła przerażona. Zagubiona, owszem, bywałam.

– Ramone, wiesz, że to nieprawda. – Zwracała się do mnie po nazwisku, tylko gdy była bliska płaczu. – To jest twoja szansa, aby wyjść na prostą. Będę cię odwiedzać jak najczęściej.

– Chcę wrócić z tobą – jęknęłam przez ściśnięte gardło.

– Nie mogę cię zabrać. Wiesz o tym.

Zawsze chciałam zamieszkać z Macy. Zajmowała się mną najdłużej ze wszystkich opiekunek. Właściwie była jedyną stałą osobą w moim życiu pełnym przelotnych znajomości. Tylko z nią miałam taki dobry kontakt. Jednak dobrze wiedziałam, że to niemożliwe. Niezgodne z prawem. Kiedyś marzyłam, że jak osiągnę dorosłość, wprowadzę się gdzieś obok niej i zawsze już będziemy razem. Kochałam ją.

– Daj sobie szansę – kontynuowała, obejmując dłońmi moją twarz. – Daj IM szansę. Jestem pewna, że będzie ci tu dobrze. Najlepiej. – Pogłaszała mnie po policzku, ścierając łzę, która się wymknęła. – Wierzę w nich. Wierzę w ciebie.

– Idź już.

Oparłam się o ścianę, z całej siły wbijając paznokcie w uda. Musiałam przekierować na coś emocje, a ból był niestety najłatwiejszym przekaznikiem. Z mojej krtani wyrwał się cichy jęk. Drzwi trzasnęły, Macy zniknęła, a ja poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Uniosłam podbródek i ujrzałam zatroskaną Liz, która w pulchnych dłoniach trzymała kurtkowo mój plecak.

– Wiem, że jest ci ciężko. Dołożę wszelkich starań, abyś już więcej nie płakała. – Jej słowa brzmiały jak obietnica.

Pociągnęłam nosem, patrząc jej w oczy. Były życzliwe i pełne miłości. Godne zaufania.

– Chodź, skarbie, musisz zobaczyć swój nowy dom.

Oficjalną prezentację domu rozpoczęliśmy od kuchni, do której wchodziło się bezpośrednio z salonu. Na samym jej końcu mieściły się okna z widokiem na kwiecisty ogród. Znacząco różniła się od reszty wystroju domu. Jej kolorystyka ograniczała się do czerni i metalowych połysków.

Od wejścia uwagę przykuwała masywna wyspa z ustawionymi dookoła niej skórzanymi hokerami. Wzdłuż ścian wisiały szafki, a pod nimi znajdował się ciemny blat, w który wpasowano metalowy zlew z kranem wychodzącym ze ściany oraz przemysłowej wielkości kuchenkę z dwoma piekarnikami.

Kuchnia była bardzo profesjonalna, jak w restauracji. Znajdowało się w niej wszystko, o czym marzyłam. Dwudrzwiowa lodówka z kostkarką do lodu, spiżarnia wypełniona wszystkimi możliwymi przekąskami oraz słodyczami, sprzęty do gotowania znane z programów kulinarnych i profesjonalny ekspres do kawy. Na pozór proste rzeczy, jednak do tej pory widziałam je tylko w filmach. Obeszliśmy kuchnię dookoła, a oni po kolei pokazywali, co gdzie leży, opowiadając przy tym zabawne anegdotki z lekcji gotowania, jaką Liz zrobiła dzieciom parę lat temu. Poczułam pierwsze ukłucie zazdrości – to powinno być moje życie od początku.

– Czy są jakieś godziny, w których kuchnia jest zamknięta? – zapytałam nieśmiało, obracając się do małżeństwa, gdy rozeznałam się w nowym miejscu.

Kobieta spojrzała na mnie zdezorientowana, po czym ścisnęła dłoń męża. Zupełnie jakby moje słowa ją dotknęły do żywego.

– Kochanie, możesz tu wchodzić, kiedy tylko chcesz. Brać wszystko, czego tylko zapragniesz. A jak tylko będziesz miała na coś ochotę i tego nie znajdziesz, powiedz mi, a to kupię. W tym domu nikt nie będzie chodził głodny.

W domach zastępczych jadalśmy o wyznaczonych porach i było to na tydzień z góry ustalone menu. Każdy dzieciak miał swoje dyżury przy przygotowaniu posiłków i sprzątaniu po nich. Prawie zapomniałam, jak to jest mieszkać w miejscu, które cechuje się swobodą. Ostatnia rodzina, u której miałam nieprzyjemność mieszkać, również narzucała chore zasady, z brakiem dostępu do kuchni poza porami posiłków i karami za podkradanie jedzenia włącznie. Wszystko zawsze było wyliczone tak, aby nikt nie czuł się pokrzywdzony. Brak ograniczeń był dla mnie nowością.

Następnie skierowaliśmy się do korytarza. Naprzeciw wejścia do salonu umiejscowione były ciężkie drewniane drzwi do biura Andrew. Zdecydowanie starsze niż ten dom. Dostrzegłam, że pomimo ogólnie nowoczesnego i przytulnego stylu boho, co jakiś czas pojawiały się meble

czy przedmioty, które z całą pewnością musiały zostać złowione w antykwariacie. Biura nie zwiedziliśmy. Andrew od razu zastrzegł, że jest to jedyne miejsce, do którego nie chce, aby ktokolwiek wchodził, łącznie z jego dziećmi. Wspomniał, że w jego pracy dokumenty muszą być ściśle chronione, dlatego jest to dla niego niezwykle istotne. Brzmiał przy tym niezwykle poważnie, a jego zwykle roześmiana twarz była napięta. Od razu zaciekało mnie, czy jego dzieci kiedyś kusiło, aby tam zajrzeć.

Na parterze znajdowała się jeszcze przestronna łazienka dla gości, z prysznicem i przeznaczonymi dla nich kosmetykami. Liz pobieżnie pokazała jeszcze ogromny garaż na cztery auta i pralnię, która była wielkości największego pokoju, w jakim kiedykolwiek mieszkalam. Najbardziej jednak zaintrygowało mnie pomieszczenie, w którym trzymali rzeczy do plażowania. Parawanów, ręczników i dmuchanych zabawek znajdowały się tu ilości niemal hotelowe. Sam schowek, o ile można było to tak nazwać, był dwa razy większy od pralni i wychodziło się z niego w kierunku plaży. Od razu dostrzegłam deski surfingowe i zwisające z sufitu żagle. Liz i Andrew opowiadali, że uwielbiają weekendy na ich dziesięciometrowym jachcie żaglowym. Natomiast rodzeństwo Hammford wyglądało jak wyjęte z plakatów „Teen Vogue’a”, więc jest oczywiste, że musieli surfować. Wszystkie bogate dzieciaki w Australii, mające dużą ilość wolnego czasu i pieniędzy rodziców, to robiły. Trochę nie mogłam się doczekać, aż sama tego spróbuję. Zawsze byłam ciekawa, jak to jest sunąć po falach, kąpać się w promieniach zachodzącego słońca. Przybliżyłoby mnie to do mamy. Oglądając jej zdjęcia, widziałam, jaką radość z tego czerpała. Wiedziałam, że ja też będę to czuła. I ponownie dostrzegłam szansę na wymarzone życie jak z filmu.

Po niemal półgodzinnym oprowadzaniu ponownie wróciliśmy pod główne wejście, blisko którego pięły się schody na piętro.

Wchodząc po nich, małżeństwo opowiadało o tym, że znajduje się tam pięć pokoi z własnymi łazienkami. Sześć łazienek w jednym domu było dla mnie bardziej abstrakcyjne niż dwudrzwiowa lodówka. Szybkim krokiem mijaliśmy drzwi i Hammfordowie zdawkowo wskazywali, które prowadzą do ich sypialni, a które do pokoi dzieci. Nie pokazywali ich od środka, tłumacząc mi, że ponad wszystko cenią sobie prywatność. Nie naruszali tego bez palącej potrzeby. To również miało dotyczyć mnie. Powolutku wstępowała we mnie nadzieja.

Coś, co wyróżniało się najbardziej na piętrze, to wyjątkowo przestronna biblioteczka na końcu korytarza. Nie była odrębnym pomieszczeniem. Dopiero gdy do niej dotarliśmy, zauważyłam, że to coś w rodzaju oranżerii. Okna ciągnęły się od drewnianej podłogi do sufitu. Przestrzeń była w całości przeszklona, z wyjątkiem jednej, sąsiadującej z pokojem obok ściany, na której mieściły się również regały. Na środku pomieszczenia stały wiklinowe fotele z puchatymi poduszkami. Westchnęłam na myśl o zapadnięciu się w miękką poduchę z książką, przy naturalnym świetle i z możliwością podziwiania widoku na ocean. Liz dumnie zaczęła opowiadać o poustawianych w nieładzie roślinach, a ja rzuciłam okiem na tytuły tomów stojących na gęsto rozmieszczonych półkach. Znalazłam tam całe spektrum pozycji. Od słowników, przez kodeksy prawne, aż po beletrystykę. Przejechałam palcami po zdobionych grzbietach, były przepiękne, unikatowe. Prawie same białe kruki.

– Lubisz czytać? – zagaіła kobieta.

– Kiedyś dużo czytałam, jak byłam młodsza. Ostatnio od tego odeszłam. – Chwyciłam pierwszą lepszą książkę i obracałam ją machinalnie w rękach. Wciąż byłam odrobinę speszona.

– A co czytałaś? – Czułam, że Liz próbuje nawiązać dłuższą rozmowę. Do tej pory raczej milcząco przytakiwałam, zadałam może trzy pytania. Doceniałam jej chęci i postanowiłam dać jej do zrozumienia, że również zależy mi na więzi.

– Uwielbiam fantastykę, zwłaszcza *Grę o tron*, i czasem trochę czytam o sztuce. – Liz przyglądała się mi z zaangażowaniem, skanując każdy fragment mojej twarzy. – Fantastyka, żeby trochę się oderwać od rzeczywistości – kontynuowałam pewniej – a sztuka, żeby udawać mądrą. – Pozwoliłam sobie na słaby żart, ale kobietę niesamowicie rozbawił.

– Och, Sophie. – Oparła dłoń o regał, wskazując wzrokiem półkę. – Mam parę książek odnośnie do sztuki, jednak *Gry o tron* nie kupiłam. Czekam, aż George R.R. Martin napisze wszystkie części, ale serial uwielbiam.

– Jesteś pewna? To może nie nastąpić. Ja się załamałam, czekając na nowe sezony. Teraz trochę żałuję, nie lubię niedokończonych historii, ale wątpię, żeby szybko skończył.

Ponownie się zaśmiała.

– Jak będziesz chciała wrócić do czytania, to powiedz, chętnie poszerzę kolekcję. – Zwróciła się do męża: – Andrew, zmieściłby się tu jeszcze

jeden regał? – Nie czekała na jego odpowiedź. Wskazała kawałek pustej ściany. – O, tutaj! Tutaj postawimy książki, które będzie chciała Sophie. – Ponownie skierowała się do mnie: – W swoim pokoju masz biblioteczkę, ale już ją zapełniliśmy książkami szkolnymi, może nie być miejsca.

– Och, moja żona tylko szuka pretekstu, aby nakupować kolejnych książek. Jest zbieraczem – wtrącił się mężczyzna. – Nawet połowy swojej kolekcji nie przeczytała. Stoją na półkach i lśnią nowością. Są nawet takie pokryte jeszcze folią. – Zaśmiał się i pocałował ją w skroń, na co ta lekko uderzyła go pięścią w ramię.

– Kiedyś wykladałam literaturę na uniwersytecie. – Ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu, zupełnie tak, jakby Andrew nie miał tego usłyszeć. – Kolekcjonowanie książek to moje lekkie zboczenie. Nie będę udawać, że jest inaczej.

Uśmiechnęłam się słabo, w duchu ciesząc się, że mamy już wspólne pole do rozmów. Zbieractwo i książki.

– A teraz czym się zajmujesz? – Staralam się nie brzmieć wścibsko, ale momentalnie poczułam wyrzuty sumienia. Oni byli tacy kochani, a ja nawet nie zadałam sobie najmniejszego trudu, aby zapamiętać o nich podstawowe informacje. Z góry zakładałam, że do tej chwili, w której jesteśmy, nigdy nie dojdzie.

– Och, mam bardzo ciekawy zawód! – Kąciki jej ust powędrowały w górę, jakbym trafiła w sedno, a ciało Liz naprężyło się w ekscytacji. – Jestem dziennikarką śledczą.

– Co? – Uniosłam brwi zaskoczona. W głowie nie miałam konkretnego wzoru wyglądu dziennikarza śledczego, ale jakbym taki miała, to ta kobieta na pewno by się w nim nie znalazła.

– Ludzie często się dziwią. Nie wyglądam, co?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczyłam. – Myślałam, że nie musisz pracować.

Andrew chyba był sędzią. Macy coś wspomniała, nawiązując do ich pieniędzy, jednak o tym, gdzie pracuje Liz, nie mówiła. A może i mówiła, ale był to jeden z tych momentów, gdy się wyłączałam.

– Bo nie muszę, Andrew zarabia, abym mogła robić to, co lubię. Ja to robię z pasji.

– Uwierz mi, Sophie, gdyby nie jej praca, nocami zamęczałaby mnie dokumentami o morderstwach – wtrącił się mężczyzna, palcem wskazującym poprawiając okulary na nosie. – Już kiedyś tak żyliśmy. Teraz przynajmniej zabiera to do biura i wieczorem możemy oglądać coś przyjemnego.

– Kocham dokumenty kryminalne! – pisnęłam. – Oglądam je, jak chcę się odprężyć.

Zmarszczył brwi, z lekką dozą odrazy patrząc to na mnie, to na żonę.

– Obie jesteście chore – skwitował, kręcąc z dezaprobatą głową. – Jak można dla zabawy oglądać morderstwa? Nigdy tego nie zrozumiem. Jak tylko dostaję sprawę o zabójstwo, od razu chodzę struty.

– I nie musisz, kochanie. Za to ty, Sophie – kobieta pstryknęła mnie w nos – właśnie wkopałaś się w nocny maraton moich ulubionych filmów dokumentalnych, które musisz zobaczyć. Może nawet pokażę ci parę moich otwartych spraw, co ty na to?

Klasnęłam w dłonie ze szczęścia.

Ona właśnie zaprosiła mnie na całonocne spędzanie czasu, a w dodatku – w mój ulubiony sposób. Umiała mnie przekupić.

Liz Hamford miała aparycję uroczej kobiety, która całymi dniami piecze przepyszne babeczki i szydełkuje ciepłe koce na zimę, a nie babra się we krwi.

– Badasz morderstwa? – Staralam się opanować ekscytację w głosie.

– Między innymi – odpowiedziała dumnie. – Robię wywiady ze skazanymi. Fascynuje mnie ich wersja wydarzeń. To, co się dzieje w głowach przestępców i co doprowadziło do tego, że popełnili zbrodnie. Wszystkie sprawy traktuję poważnie. Spotykam się z lekarzami, prowadzę wywiady z rodziną. Chcę ich zrozumieć.

– Moja żona głupio żyje w przeświadczeniu, że nie ma ludzi złych, są tylko chorzy – rzucił prześmiewczo Andrew.

Zatrzymałam te słowa w głowie. Czy mogła mieć rację?

– Zabierzesz mnie kiedyś ze sobą? – wypaliłam. Dopiero później zdałam sobie sprawę z absurdu moich słów.

Zaśmiała się.

– Nie wiem, czy do zakładu karnego wpuszczą nastolatkę. Może jakbym powiedziała, że jesteś moją asystentką. – Podrapała się po skroni. – A chciałabyś? – zapytała rozweselona. Przytaknęłam nieśmiało. – To dla mnie nowość. Reszta moich dzieci nigdy nie była zainteresowana tym, co robię.

Reszta?

Może jednak Macy miała rację. Może nie będzie tak źle jak zawsze?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Sophie jest trudną nastolatką, która ma za sobą mroczną przeszłość. Z pochodzenia Amerykanka, niemal całe życie spędziła w australijskich rodzinach zastępczych, nieustannie przetrzucana z miejsca na miejsce. Wreszcie, tuż przed wejściem w dorosłość, trafia do rodziny Hammfordów. Ci dobrze sytuowani ludzie zobowiązują się do utrzymywania dziewczyny przez pięć lat, by mogła skończyć szkołę i studia. Sophie, choć pełna wątpliwości, decyduje się skorzystać z tej szansy i ma nadzieję, że tym razem uniknie rozczarowania.

Lizz i Andrew Hammfordowie witają Sophie z entuzjazmem, ich dziewiętnastoletni syn Ace natomiast otwarcie okazuje jej wrogość. Ona jednak jest nim zaintrygowana i szuka porozumienia. Ma bowiem nieodparte wrażenie, że wcześniej już gdzieś spotkała tego aroganckiego blondyna... Tymczasem chłopak raz za razem ujawnia, że zna najmroczniejsze fakty z przeszłości swojej przyszywanej siostry. I nie zawaha się ich użyć przeciwko niej, aby zniknęła z jego życia.

PATRONI MEDIALNI:



beyA 16+
beya.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-0630-3



9 788328 906303

cena: 49,90 zł